

Konferencja naukowa. Dlaczego musimy to znosić?

Jacek Wasilewski

Podobno wybrali tę robotę z ciekawości. A potem idą na front, wchodzą powoli do starych budynków i zaczyna się prawdziwa jatka – młodzi, starcy, kobiety... Najczęściej jest to wzajemna masakra – tak, ci ludzie robią to sobie nawzajem, ofiary stają się katami, często w jednej sali, w ciszy przetykanej głosem powiadomień na komórce. Tak naukowcy na konferencjach usiłują zabić się nudą.

Pokutnicy, cierpiętnicy starają się nie pokazać po sobie, że właśnie umiera w ich mózgu kolejna komórka nerwowa z braku odpowiedniej stymulacji. Co jakiś czas w świecie naukowym następuje odkrycie: ktoś ogłasza, że nauka nie musi być nudna. Można znaleźć w internecie dziesiątki takich buńczucznych zapowiedzi, wyzwania rzuconych temu morderczemu rytuałowi. A jednak nadal dręczymy się wzajemnie. Jednymi z najgorszych sadystów – bo jak nazwać tę torturę? – są humaniści. Ci od pięknych idei, od zmian myślenia, od przełomów, od rewolucji.

Tam, gdzie są konkrety, bywa lepiej. Przeczytałem na przykład coś takiego na Facebooku infodent24, że zdaniu „Jeśli konferencja naukowa – to musi być nudna” V Mazowieckie Spotkania Stomatologiczne zadały trzy mocne ciosy. Na stronach „Nauka w Polsce” wielkim tytułem „Jak przetrwać bezboleśnie nudną konferencję” promuje się *Miniporadnik dla naukowców*. Wewnątrz poleca się przeramowanie uporczywego wpatrywania się w dowolny punkt sali czy w czubek własnych butów na rodzaj medytacji. Popularne jest doświadczenie uczestnika sesji, który, wypełniony bezbrzeżną nudą, pokrywa swój

zeszyt rysunkami z sylwetkami prelegenta czy współtowarzyszy (nie)doli.

Byłem na dziesiątkach konferencji naukowych. Na tych, za które sam płaciłem, i na tych, za które mi płacono za powiedzenie tego i owego. Im więcej płać prelegentom, tym wyżej poprzeczka i gęstsza selekcja – ale tym mniej naukowo, bo za udział w ciekawej formule płać firmy, które nie mogą sobie pozwolić na utonięcie w odmętach nudy. Na ilu byliście konferencjach, za udział w których zapłacilibyście z własnej kieszeni? Fakt, że w pewnym sensie jest się w pracy, nieco ratuje sytuację – ale przecież ta praca miała być ciekawa, odkrywczą, wykraczającą poza horyzont dotychczasowego myślenia...

Być może prelegenci nie wiedzą, że mordują innych współudziałowców w samobójczym ataku na mózg? Otóż wiedzą – to często ludzie od wielu lat jeżdżący na konferencje. Po pierwsze – jest to pewien rytuał. Można rzecz opowiedzieć, ale jakże często, zwłaszcza wśród ludzi zajmujących się językiem i komunikacją – czyta się. Ludzie mozolnie piszą, a potem czytają. To rytuał z czasów, gdy nie było papieru ani ksero; naukowiec siedział jak na zesłaniu i czytanie było jedynym sposobem zapoznania się z jego słowem. To zostało. Po drugie – wielu naukowców boi się mówić – bo albo zapomni, albo powie coś zbyt potocznie – a czytania do audytorium nikt ich nie nauczył, co słyhać, kiedy nagra się ich monotonną mantrę. Odkąd wykłady przestały być obowiązkowe, procent studentów uczestniczących w nich jest miernikiem jakości operowania głosem. Wejście prelegenta w intymny kontakt z kartką

jest przykre dla słuchaczy, którzy w tej relacji przestają się liczyć – prelegent nie podniesie wzroku, bo się jeszcze pomyli. Wychodzi się zwykle chyłkiem.

Zresztą zauważyłem, że kiedy ktoś osiąga popularność w mówieniu do zwykłych ludzi, czyli plebsu, ignorantów i gawiedzi, wówczas jakby magma naukowego pospólstwa obniża przyznawany mu respekt. Staje się kukielką, błazenkiem, bawidamkiem, a nie porządnym, poważnym, statecznym naukowcem, co to rozważy, namyśli się, nos zmarszczy – nim stęknie. Istnieje przeświadczenie, że ważnych rzeczy nie mówi się ciekawie, tak jak podręcznika nie pisze się dla studentów, tylko dla punktów i potomności.

Jedynym wytłumaczeniem jest to, że konferencje, które nie mają charakteru realnych dyskusji (ileż razy słyszeliśmy w występkanej przemowie, że to bardzo interesujący referat), mają zupełnie inny cel. Nie przypominam sobie ciętej syntezy, w której ktoś chciałby być tezą, a drugi antytezą. No, raz ciekawie się zrobiło, gdy na zjeździe kulturoznawców w Elblągu zaatakował mnie socjolog Andrzej Zybertowicz, kiedy mówiłem o populizmie. Bardzo mu za to podziękowałem, czułem, że moje tezy poddawane są weryfikacji albo raczej falsyfikacji. Celem konferencji jest ponowienie rytuału przejścia – jak w porządnej galerii sztuki, gdzie nie bardzo wiadomo, o co chodzi, człowiek się wymęczy, intelektualnie nic nie wyniesie, a lepiej bawiłby się w parku trampolin.

Oznaką rytuału, w którym musimy pokutować i musimy się poświadczyć, jest opłata konferencyjna. Naprawdę, dobrą konferencję można zasponsorować, ważkie i śmiałe tezy prosto powiedziane mogą się znaleźć w prasie, ze zdjęciami logo sponsorów na ścianie. Ale nie – naukowiec jest brzydki, nieatrakcyjny i przegadany. Ostatnim celebrytą naukowym z humanistycznych obszarów był Indiana Jones, archeolog. Ze świata nauk ścisłych – Sheldon Cooper z *The Big Bang Theory* – to fizyk teoretyczny. O Stephenie Hawkingu zrobiono film – całkiem udany romans. O łamaczach Enigmy. Biolożka z *Avatara*. Prof. X, lider X-menów. Dr Spock – oficer naukowy ze *Star Treka*. Fizyk nuklearny, który w trudnych emocjonalnych momentach staje się Hulkiem. Paleobotanik z *Parku Jurajskiego*. Emmett Brown z *Powrotu do przyszłości*. A w Polsce – As z *Hydrozagadki*... Polscy badacze na obozie studenckim ze *Struktury kryształu* są typowymi snujami opisanymi w *Rejsie*. Jest z tym problem – humanistyka nie umie wytworzyć narracji o sobie. Dlaczego? Po pierwsze, jest wątpliwą nauką. Po drugie, nie pokazuje, jak realnie zmienia świat – a zmienia. Cóż bardziej zmienia świat niż idee filozofów? Projekty kulturoznawców? Wielkie zamierzenia pedagogów... No właśnie – są wielkie filmy na ten temat, choćby jaskinia Platona ubrana w pełen kopniaków *Matrix* albo *Kill Bill* – ale tam kulturoznawczą analizę superbohaterów wyjawia tuż przed śmiercią Bill, a nie superbohater-humanista. To nie jest sexy, gdyż sami humaniści podejmują często jedynie akcję wewnątrz swoich umysłów, tyrając długo i bezcelowo nad rozbijaniem pojęć, a stawka tego rozbijania jest zerowa. I choć włos jest rozdzielony na czworo, niewiele z tego wynika, a strasznie dużo przy tym głędzenia.

OK, znawcy powiedzą, był film *Sokrates* z 1971 roku i *Agora* z 2009 roku o Hypatii. Był Konfucjusz z 2010 roku. Był film o Hannah Arendt z 2012 roku i o młodym Marksie z 2017 roku. Nawet był film o Wittgensteinie. Jak się domyślacie, były to raczej tragedie, a widzowie nie mogli spodziewać się happy endu z naukowcem. Tak samo jest z konferencjami. Nie ma happy endu. Rytuał przejścia polega na tym, że wraz ze smutnym przekroczeniem sali konferencyjnej skazanych na lurę, którą w amoku rozszerzenia definicji ktoś śmiał nazwać kawą, normalne życie ulega zawieszeniu. Zaczyna się faza liminalna. W klasycznym rytuale inicjacyjnym młodzi adepci muszą zmierzyć się z potworem – niedźwiedziem, jakimś wyrośniętym, groźniejszym borsukiem, podeksycytowaną bandą dzików, których kły mogą później zawisnąć na naszymyjniu wspomnień. Tymczasem naukowiec humanista na tak zwanej rejestracji przechodzi próg wejścia. Przed wejściem w *orbis exterior* otrzymuje plakietkę, materiały w torbie koniecznie szmacianej, do wyprodukowania której i zafarbowania potrzeba zużyć dużo więcej wody niż do zwykłej reklamówki – to klasyczne znaki ofiarnicze – a całe towarzystwo jest w jakimś stopniu ułomne na ciele, w fizjonomii bądź w odzieży, zdarzają się też dziwne włosy, piegi, dziwaczne okulary i tym podobne – to wszystko, co jest oznaką niskiej pensji uniwersyteckiej, która mnie w Warszawie nie pozwala na opłacenie kredytu na mieszkanie, czynszu, komórki oraz utrzymania niewielkiej gromadki dzieci i przyzwoitszego terenowego samochodu.

Następnie zaczyna się konferencja. Reguły życia zostają zawieszane. Normalnie, gdy ktoś plecie trzy po trzy albo wręcz głądzi trzy po trzy, spotyka się z reprimendą, wygnaniem z towarzystwa, a czasem z niewielką agresją. Na konferencji jest inaczej. Zaciskamy zęby i udajemy, że tak ma być. Co więcej, sadyście, który czyta i przekracza dany mu czas, który powinien zostać w przyzwoitym towarzystwie rozstrzelany już w środku swego wystąpienia, temu sadyście daje się czas, chwali za wysiłek i nagradza zdechłymi, ale jednak brawkami. W ten sposób reprodukuje się model. Młodzi adepci uczą się rytuału. Co więcej, wiedzą, że powinni wziąć udział w tej operze, ale niekoniecznie muszą powiedzieć coś sensownego. Może to być tak zwana rola czynników albo zarys ogólny, albo przyczynek do. W pewnym momencie widać, o co tu chodzi, i młodzi wymiękają. Młodzi nie są twardzi. Młodych jeszcze nie stać na taką cierpliwość, na takie brnięcie przez muł, co starych wiarusów humanistyki. W końcowej fazie referatów drugiego dnia jest już mało naukowców na polu bitwy. Ostańców, którzy doprowadzą ten święty czas do końca, odbiją się z drugiego progu i włączą do społeczeństwa jako odnowieni naukowcy – ci, którzy byli na konferencji.

Jak się nie jeździ na konferencje, to status wystarcza na jakiś czas, ale dłuższa absencja w tej komunii powoduje, że się znika z annałów, wypada z gry, przepada w pomroce. W tym krótkim czasie konferencji nie wolno skrzywdzić kolegi referenta, trzeba wytrzymać jego ciosy nudy, niczym walnięcia pałką u amazońskich Yanomami. To jest ten właściwy benefit, dla którego zjeżdżają

się z Polski. Bo przecież, patrząc na sprawozdania, trudno powiedzieć, że ta konferencja była potrzebna. Czasem nawet uczestnicy nie czytają tomu pokonferencyjnego. Rzadko widać te teksty w bibliografiach. Dyskusji nad tekstami nie uświadczysz – jest ona zmieniona do minimum i najczęściej skracana, gdyż ofiarnicy poświęcili się i gderali dłużej.

Tak, czasem się uda zrobić inaczej. Jedno takie sympozjum urządziłem w swoim domu na wsi, w którym proporcje były odwrotne: krótki referacik na kwadrans, dyskusja na trzy kwadransy, a potem godzinna przerwa z winem (w końcu nazwa sympozjum zobowiązuje). Była to jedna z najbardziej wartościowych konferencji, jeśli chodzi o urobek – to, co najważniejsze, wydarzało się w przerwach. Na normalnych konferencjach pijatyka jest dopiero po zakończeniu obrad, więc uczestnicy rozchodzą się w podgrupach i nie sprzyja to syntezie zdań i środowisk. Zresztą konferencje w ramach dyscypliny tak zubażają dyskusję... Na pamiętnej konferencji, kiedy wypowiadali się kulturoznawcy, pani psycholog tak nas pięknie zjechała pod względem metodologii, że aż było miło popatrzeć i posłuchać. Rzadko widywałem taką furię. Byliśmy jej bardzo wdzięczni za tę temperaturę.

To, czego brakuje na konferencjach, to zagadki. To sam proces dojścia, poszukiwań, zmagania. Tabele możemy postudiować sami. Folwarczny styl uprawiania nauki powoduje powtarzanie „poważnego” schematu konferencyjnego, który – mam nadzieję, że ktoś to przebadaj wkrótce – niewiele wnosi w obecnym kształcie do naukowego życia. Pojęcie rynku idei nie ma swojego odniesienia.

Na konferencji można być pewnym, że naukowiec postara się powiedzieć za dużo w danym czasie i będzie chciał go przekroczyć – zamiast skupić się na ciekawym opowiadaniu jednej kwestii i kierować uwagę, a nie referować slajdy. Przeceniamy widownię i jej siłę do długotrwałego bycia miażdżoną. Prelegenci bywają tak zachowawczy i tak boją się jakiegokolwiek błędu, że owocuje to scholastyczną sztywnością, a przez to nudą i brakiem dyskusji nad naprawdę śmiałą tezą, a nie nad przecinkami. Poza tym, wmówiliśmy sobie, że treści naukowe nie mają emocji. A bez pasji i emocji nikt w życiu by nic nie odkrył – jakoś trudno zauważyć, żeby prelegenci dali po sobie poznać, że ekscytują się tematem. Do ekscytacji potrzeba odrobiny swobody. A teraz przypomnijcie sobie rzeczy, którymi zachwyciliście się na konferencji. Zastanówcie się nad tym. I zmieńcie to.